



Kazimiera Parchimowicz

część I z II

Sygnatura notacji: **N0882**

Data urodzenia: **26.10.1934 r.**

Data nagrania: **05-06.11.2013 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 61 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Kazimiera Parchimowicz: Urodziłam się 26 października 1934 roku w Izabelinie, ale nie wiem, dlaczego zostałam zapisana: Wołkowysk. I tak w dowodzie jestem Wołkowysk, a mieszkałam z rodzicami w Izabelinie. Matka tam mieszkała i ojciec, ojciec potem pracował tam jako maszynista w młynie, potem wyjechał do Warszawy, a potem z Warszawy do Tłuszcza. W Tłuszczu był maszynistą, też pracował u Sackiewiczów. Co pamiętam z dzieciństwa? Pamiętam z dzieciństwa, jak w Izabelinie mieszkałam, to już wtedy miałam chyba tak, nie wiem, ile lat, trzy czy ponad trzy lata, potem mama zmarła. To bardzo dobrze pamiętam, zawsze mama wszystko kupowała u Żydów, bo to miasteczko było prawie żydowskie, wszystko było w rękach żydowskich, ale bardzo dobrze prowadzili wszystko, tam wszystkiego zawsze było. I kiedy tatuś nawet nie przysłał pieniędzy z Tłuszcza czy z Warszawy, dla mamy, to wszystko mama brała na kredyt. A kiedy ja poszłam z mamą po te zakupy, to tam były bardzo ładne zabawki, a Żydzi mnie tak lubili, bo ja podobnież byłam bardzo ładnym dzieckiem, że mama część kupowała, a część za darmo w prezencie dostawałam. No ale potem z Izabelina mama się wyprowadziła, bo już przyszła rodzić do Rupejek, dziecko rodzić, no i umarła, dostała zakażenia i umarła, i ja zostałam sama wtedy. Babcia mnie zabrała i ciocia, byłam u babci i u cioci, a tatuś był w Warszawie. A kiedy wojna się zaczęła, tatuś z Warszawy wyjechał i przyjechał do Wołkowyska, do Rupejek przyjechał, do swoich braci tam, bo tam miał mieszkanie. I potem poszedł pracować do cegielni, bo znał język niemiecki, rosyjski i łacinę. I poszedł tam pracować jako główny mechanik i zastępca majstra czy... nie, zastępca jakiegoś tam dyrektora czy kogo jeszcze. Bo znał te języki bardzo dobrze. No i potem ożenił się ojciec, wziął drugą żonę, ta żona była bardzo niedobra dla mnie, bo to była białoruska oczywiście, a ona przeszła na polskie, wzięła ślub w kościele, była nawet ładna, ale tatuś z tą nadzieją, tą właśnie w Toruniu, co jest ta... jak ona się nazywa? Mój tata miał plany wrócić do Warszawy i w Warszawie mieszkać, bo każdy żył z nadzieją zawsze, że będzie Polska,

że nie będą Rosjanie ani Niemcy, że będzie Polska. A tutaj tak się stało, że nie była Polska. No i ojciec został już na tej Białorusi. Ożenił się z tą całą Niną, pamiętasz, nie? Opowiadałam ci, tą macochą. Ta macocha była bardzo podła, kiedy ojciec zachorował i zmarł, to ona w ogóle przecież mnie nie wzięła nigdzie, przecież zamknęła w mieszkaniu i umierałam z głodu, jak to się mówi. Ale ludzie tam... To było mieszkanie tak na uboczu, bo to posiadłość była jego ojca jeszcze, i pani jedna podchodzi, a ja stukałam do okna, ta pani przyszła, do okna, pyta się, co ja chcę, ja mówię: „Proszę powiedzieć naszemu wujkowi, żeby przyszedł nas zabrać, bo my umieramy z głodu już tutaj”. No i przyszedł wujek, i zabrał mnie do tego... kazał tej cioci, żeby zabrała mnie do siebie. No i zabrała mnie do siebie, i ja mieszkałam u cioci wtedy. A opowiadał tatuś, że będę dziennikarzem lub lekarzem, i potem wziął mnie na kolana i nauczył mnie takiej piosenki o marszałku Piłsudskim: „Pałac belwederski to jest biały dom, długie, długie lata tu pracował on. I tam na dziedzińcu śmiech dziecięcy drżał, kiedy pan marszałek Piłsudski imieniny miał”. No ja pamiętam do dzisiaj, byłam małym dzieckiem, a pamiętam do dzisiaj. Tak w pamięci... Ja już wtedy chyba siedem lat miałam. Ale to zapamiętałam do dzisiaj, bo powtarzałam sobie. Do jakich szkół chodziłaś? Jak wyglądała nauka? Do białoruskiej szkoły chodziłam. Jak wyglądała nauka? Wyglądała nauka tak, że nie można było po polsku rozmawiać, a u nas w domu, bo to szlachta przedwojenna była, to zawsze wszyscy po polsku rozmawiali. I trudno było z tym się pogodzić, żeby używać rosyjskiego języka w domu. I nie rozmawiali w ogóle, nikt nie rozmawiał, i w ogóle ruskiego nie rozumieli nawet, kiedy Ruski przychodzili w jakiejś sprawie służbowej, to ciocia w ogóle była jak niema, bo nie rozumiała po prostu ich. Potem do szkoły poszłam i w szkole zaczynałam liczyć po rusku niby, a kończyłam po polsku. I przyszedł, pamiętam, taki straszny gruby Rusek, i mówi do cioci: „Jeżeli jeszcze dziecko będzie rozmawiało po polsku i wy będziecie rozmawiać, to drogo zapłacicie za to. Tu wam nie Polska, tylko jest Rosja teraz”. A w szkole, jak nauczyciele, mówili coś o Polsce? No jak? Wszyscy musieli mówić po białorusku albo po rusku. Białoruski i ruski był jeno. Mówił, że Polski tu już nigdy nie będzie. Że Polska może im tylko się śnić, bo Polski tu nie będzie. I powiada, żeby zapomnieli Polskę i nie powtarzali w ogóle takich słów, bo tu jest Rosja i Białoruś. I jak szli Niemcy bez przerwy, potem już Niemców nie ma, i wujek wyszedł zobaczyć, bo schowaliśmy się, bali się trochę. Ale Niemcy nie ruszali w ogóle tam nas absolutnie. I wujek wyszedł na dwór, i patrzy tak na górce, bo tak na górce mieszkaliśmy, tak pod górkę, pamiętam, i mówi: „Idą Amerykanie”. I się cieszyli. A my w piwnicy byli, z piwnicy my wyszli, i patrzymy, a to Ruski idą w tych hełmach zielonych i w tych takich płaszczach. I my od razu do piwnicy, wujek przyleciał, zaryglował drzwi, a oni walą do drzwi, w drzwi walili i ja nie wiem, wyłamali czy drzwi same wyleciały, i mówią, dlaczego my się schowali, „Chowacie się od nas?”, a wujek mówi: „Nie, my cieszymy się, że Ruskie przyszli. A my myśleli, że to Niemcy idą do nas, i my schowali się tutaj”. I zaraz zaczęli wszystko przewracać, zabierać, jedzenie, po strychach wszędzie latali i już wszystko pozabierali. Co było? Jedzenie jakie? Był dla konia jakaś karma, tam owies czy co tam było. I oni to zabierają, a wujek mówi: „Przecież koń zdechnie”. A on mówi: „I ty też zdechniesz, jak nie dasz. Wszystko jest teraz nasze”. Ale wujek bał się, nie odzywał się więcej do nich. Nastawił tak... chciał tam się trochę bronić, żeby oni... Na strychu tam kiełbasy były, tam trochę mięsa było, wędzonego, suchego. I oni pójdą, i my przecież z głodu poumieramy, bo nie mamy już. Ale bał się do nich odzywać, nie odzywał się do nich już więcej. I potem już zaczęły się kołchozy zaraz i wszystko pozabierali już, i konie, i świnie, wszystko. I wujek, ten, co właśnie córka jest, Teresa, w Toruniu, to ten wujek mówi: „Już nic nie zostało, tylko kury. Ale kury też nie ma czym karmić i kury będą zdychały. Ale jest na polu, teraz dojrzewa, zboże”. I dojrzewało zboże, i wujek wziął takie lniane prześcieradło, bo sami kiedyś tam robili te prześcieradła, tkali, wszystko, i poszedł, wziął cepa w nocy, a oni pilnowali nawet w nocy, bo mieli swoich tych bandytów takich do pilnowania, i wujek poszedł, a to niedaleko było, to pole, od domu, i zaczął młócić tym takim cepem drew-

nianym, ty tego nie znasz, bo to historyczny cep taki, taki drewniany, i tak się młóciło. I wujek z plewami namłócił 7 kilogramów. Wujek młócił, już zobaczył, że jest to prześcieradło pełne, i chce się zabierać, iść, a oni wszystko obserwowali. I zabrali mu to, co on namłócił dla tych kur, z plewami, ze wszystkim, i zważyli wujka już, skręcili i zabrali to, odważyli 7 kilo i za te 7 kilo dostał siedem lat. I siedem lat był na Syberii, aż wyszła ta repatriacja Gomułki. I wtedy wujek wyszedł. Przyjechał, właśnie w Toruniu był, no już taki przy śmierci prawie, nie wiem, czy w Toruniu czy w Grudziądzu leżał w szpitalu, no i zmarł już. Synowiec Stanisław. To był wspaniały, bardzo religijny człowiek. I z zamożnej rodziny, i rodzina bardzo zamożna była, a wujka miał też bardzo bogatego, za Izabelinem był, miał chyba tam z 50 hektarów ziemi. Ale ten wujek uciekł zawczasu, Ruski już go nie sięgnęli. Majątek jego zabrali, ale on uciekł żywy. I potem przyszli po wujka, i zabrali tego wujka, i powieźli. Ale on miał złoto gdzieś tam schowane i przekupił tych... zdaje się, do Korłofińska czy gdzieś go dowieźli. On tam był już, pracował w lesie. I potem z lasu uciekł tego. I bardzo długo on szedł wszędzie i doszedł do tej Jasienowicy. No ale tam już na niego czekali. Bo wiedzieli już tam w więzieniu tym, że on uciekł, tam on w więzieniu był, ale pracował, w lesie pracował, ciężko pracował, bo to był taki atleta, zdrowy bardzo mężczyzna. I całe cztery lata go szukali. A on był taki mądry, wykopał sobie taki dół, taki jak mieszkanie zrobił w lesie, i tak jakoś tam obsadził te drzewa gdzieś tam daleko, bo to taki las był zamkowy, bardzo duży, i tam zrobił sobie takie mieszkanie. I on tam przebywał, ale od czasu do czasu próbował przyjść po jedzenie, bo przecież umarłby z głodu. I wody. I tam donosili, że on gdzieś w lesie jest, i brali psy Ruski, i też nie znaleźli go. Tak gdzieś daleko, w głębi, jakąś gęsz, że tam nic nie dochodziło. I tam był, i jednego razu przyszedł, i mówi, że on już nie ma siły, umiera. I schował się w stodole, nie w stodole, tylko gdzie krowy stoją, w tym miejscu, ale jeszcze wtedy budynków nie zabrali, potem zabrali Ruski budynki. I on tam się schował, a oni przyszli już z takimi jak... nie wiem, jak to się nazywa, takie jak bagnety, takie bardzo... broń, ale ta broń miała bardzo takie wysokie ostrze. Nie wiem, jak to jest, takie wysokie ostrze miała. I oni pruli tam wszędzie. Wszędzie pruli, gdzie się dało tylko. A on tam gdzieś schowany był, coś, jakaś beczka była czy tam co, i jeszcze coś tam było. I oni tam akurat nie dotarli. I poszli, i mówią, że on gdzieś się schował, powiada, nie wiadomo gdzie, ale my i tak go znajdziemy. Ale on już potem nie przychodził. Przynosili jedzenie, my tam donosili to jedzenie. I ktoś tam, ja nie pamiętam, jak my donosili, ktoś tam jeszcze chyba pomagał mu. No i kiedy Stalin wydał amnestię, że mogą wyjść te już... bo oni nazywali: bandyci, ci bandyci, żeby wyszli już, nie będzie ich ruszał, to wujek bał się wszystko jedno, nie wychodził stamtąd, siedział tam. Chyba jeszcze z miesiąc tam był. I potem przyszła policja już do cioci, i mówią, że niech wychodzi, bo tam umrze, gdzie on schowany jest. Przecież on żyje chyba głodem, i on był taki chudy, już strasznie wyglądał. No i wyszedł on. Jak oni przychodzili tak w nocy, i to było bardzo często w tygodniu, to chyba ze cztery razy przychodzili. Wszystko pruli. No i chwycili, pamiętam, ciocię tak, tutaj i: „Mów, gdzie on jest”. Ciocia nic się nie odzywała, „Mów, gdzie on jest”. I potem rzucili ją tak na podłogę, a studnia była, nie było przecież kranów tam, studnia i dwa wiadra wody stały, a jeden mówi, pamiętam, że „o, umarła”. A drugi mówi: „Dawaj wiadro wody”. I wiadro wody wylali na nią, ale ona się nie ruszała. Potem do mnie podskoczył jeden uzbrojony i mówi: „Gdzie on jest? Mów!”, a ja mówię: „Kto?” – „Twój dziadzia”. Twój wujek znaczy, dziadzia, wujek. Ja mówię: „Tutaj on nie przychodzi, nie wiem, gdzie on jest. Wy go macie. Przecież on do was poszedł”. A ten drugi mówi: „I jeszcze kłamiesz, że u nas jest”, i doleciał do mnie, i w ucho jak rąbnął mnie. Dzieci tak jęczały wniebogłosey, ja upadłam, ciocia leży, ja upadłam, a tylko krew z tego ucha poszła i już nigdy tym uchem nie słyszałam. No i poszli. No i takie to było życie. Później, już po wojnie, jeszcze mówiłaś kiedyś o tym, że opowiadano ci, że w Wołkowysku wywożono całe ulice polskie, że sprowadzano od razu Rosjan na te... Pamiętasz coś z tego? Że sprowadzano Rosjan na miejsca Polaków w Wołkowysku. Tak. Wszystkich bogatych Polaków, inteli-

gencję, jeszcze nauczycieli różnych, co zostali, wszystkich wywozili, wywozili tak, jak stali. Tak jak ciocia Regina. Wszystko... Nie dawali nic wziąć, tylko taki jakiś węzełek można było, a nic nie można było brać. I jedzenia tam, i od razu do wagonów takich towarowych, tam jakiś piec zapalali podobnie, bo ciocia Regina opowiadała później, piec jakiś zrobili dla nich, żeby się ogrzewali. Gdzie taki wagon duży jakiś tam piecyk ogrzeje? I wiadra, parę wiader stało, ciocia mówiła, do załatwiania się, i tak jechali. I powywozili, a na te miejsca... jedna ulica taka jest, cegielnia, bo ja pracowałam w tej cegielni przecież później, to cała ulica była nawet bardzo zamożna i dużo wykształconych ludzi było, tam całą ulicę wywieźli, a na to miejsce od razu przywozili swoich. Swoich Rosjan. Na wszystko gotowych. A Polacy nic nie mieli. I tak umierali po drodze. Poszłam ja do cegielni pracować, bo przecież z czego miałam żyć? Nie można było żyć, życia nie było żadnego. Nie było nic, tylko było, co zarobisz. Poszłam ja do cegielni, miałam ile? Piętnaście lat, poszłam do cegielni pracować. Ciężko pracowałam przy tych cegłach bardzo, a nie stać mnie było wynajmować, a tam, gdzie mieszkałam, Jesionowica, to nie wiem, 4 czy 5 kilometrów jest do tej cegielni. I w tej cegielni pracowałam. Bo co miałam robić? Ale potem myślę sobie, Boże, przecież tutaj nie można przeżyć też, a po drugie strach. Tak, wywieźli ciocię Reginę, wujków dwóch i poszłam ja, żeby jakieś zaświadczenie, bo nie miałam żadnego dokumentu, żeby zaświadczenie, żeby dowód wyrobić. Dowodu wyrobić jeszcze nie można, mówi, trzeba poczekać. I ja jeszcze pracowałam w tej cegielni parę lat. Aż do... Prawie osiemnaście lat miałam już. Czy siedemnaście, nie pamiętam już dobrze. I wtedy szłam tak ulicą, i widzę, takie ogłoszenie wisi, że młodzież może wyjeżdżać do Kazachstanu. Do Kazachstanu. Nie gdzie indziej, do Kazachstanu tylko. I ja poszłam, i już tak się decydowałam różnie, może wyjechać tam, ale to strach, trzeba uciekać stąd przecież, bo jak już tak się wzięli za rodzinę, wywożą, to przecież mnie też to... Aha, i poszłam do tego, jak to się nazywa, sekretarza, co wydawał te dokumenty, a on okazuje się, że z moim ojcem do gimnazjum chodził, on w gimnazjum się uczył. I mówi: „Co ty chcesz?”. Ja mówię: „Ja chcę uciekać stąd. Bo strach” – „A gdzie chcesz uciekać?” – „No nie wiem, gdzie”. A on mówi: „Tak, teraz młodzież wywożą na Kazachstan, a ty jesteś samotna, nie masz rodziców, sierota, ciebie mogą wywieźć do Kazachstanu. Ale tam nie ma budynków żadnych, tam takie plandeki budują i tam wszystkich razem zgajają, i dziewczyny, i chłopaki razem w tym są”. Ja się strasznie przestraszyłam, ja mówię: „A gdzie indziej nie można uciekać?” – „A masz warunki?” – „Żadnych warunków nie mam” – „Najlepiej można byłoby uciekać, i teraz jest takie pozwolenie, że można tam pojechać do Baku. To jest – mówi – kraj bardzo ciepły, tam nie trzeba ubrania ciepłego, nie trzeba nic i tam potrzebują na budowy, budownictwo tam się rozpoczęło bardzo duże i jeżeli chcesz, to mogę ci załatwić tam”. I ja zgodziłam się, i tam pojechałam. Jechałam tam siedem dni. Przyjechałam bez niczego, bez jedzenia, bez niczego. I wtedy znalazłam to biuro, przyszłam do tego biura i pamiętam, taka była kadrowa, była Żydówką, ale bardzo dobrą, pamiętam nazwisko jej, Sofia Iliniczna. Sofia Iliniczna nazywała się. Wszyscy Żydzi polscy bardzo mi pomagali. I ona pyta się, czy ja mam jakieś pieniądze, jakieś jedzenie. Ja mówię, ja nic nie mam. Ja jestem głodna i nie mam żadnych pieniędzy ani ubrania, nic nie mam. A ona mówi, że może dać taką zapomogę, ale zwrotną. Bo jak ja będę na budowie pracować, muszę oddać później. A potem słyszę, mówi ktoś tam, że może w biurze zebrać, taką zbiórkę zrobić i dać tej dziewczynie. I tak zrobiła. Zbiórkę taką zrobiła i dała mi to. Bo mówi, jakby ona zebrała 200 rubli dla mnie, 200 rubli wtedy to były bardzo słabe pieniądze, ale będzie jakoś, ja mogę potem awans dostać, taki... Zaliczkę. I mówi: „Ale na razie głodna nie będziesz”. I do hotelu. Skierowała mnie do hotelu robotniczego i ja tam pracowałam. Pracowałam ciężko, nosiłam takie trzydziestokilogramowe, tu na brzuchu, cegły, to z morza wycięte są takie cegły, takie jak Suporex nasz polski. I nosiłam tutaj na sobie to na drugie, trzecie piętro. I jednego razu upadłam z tym, i już nie mogłam dalej iść. I potem ona zawołała mnie do siebie, mówi: „Wiesz co, widzę, że mądra dziewczyna,

możesz pójść na kurs maszyn budowlanych. I będziesz po tym fachowcem, będziesz pracowała”. I ja poszłam na ten kurs to było, ja nie pamiętam, trzy miesiące czy cztery, ukończyłam ten kurs na piątkę, bardzo dobrze, szybko maszyny opanowywałam, te budowlane, i poszłam pracować na takim żurawiu, takim wysokim żurawiu. Pracowałam, podawałam ten materiał na budowę, co budują, No i zarabiałam wtedy, pamiętam, zdaje się, 360 rubli, ale te 60 rubli, czy 70, już nie pamiętam, potracali na mieszkanie, jakieś potrącenia były, na ten hotel, na coś jeszcze, powiedzieli. A za te pieniądze, co tam zostawały, 270 czy 260 rubli, nie można było przeżyć. I ja, co mam robić, jedna pani mówi do mnie, Rosjanka, że można krew oddawać. I ja już bez wyjścia byłam, tak się źle czułam, bo co ja jadłam? Chleb był tam bardzo smaczny, ale jedzenie było bardzo... wieprzowego nie ma tam mięsa, bo to Azerbejdżan, oni wieprzowego mięsa nie jedzą. Jakaś tam baranina trochę, ale mnie nie stać było na to kupić, tu jakaś zupa, czy jakaś tam pasztetowa, jakaś tam... coś jeszcze, takie coś, tylko tym żyłam. I potem właśnie poszłam tę krew oddawać, i już było lepiej, ale tę krew oddawać, to trzeba trochę się odżywiać, a miałam zerówkę, to brali ode mnie 450 gramów. Kilka razy wzięli, potem przychodzę ja znowu, a co czterdzieści pięć dni mogłam tę krew oddać, ale trzeba było mieć ten procent, żeby oni mogli tyle pobrać krwi ode mnie. No i było wtedy mi trochę lepiej. Ale później co rusz już było u mnie gorzej z tą krwią, to 200 gramów brali, 250, to było mało, ale zawsze też ratowałam tę sytuację. I woził mnie taki Żyd zawsze, bardzo był dobry dla mnie, on nie mówił, z jakiego powodu, ale mówi, od śmierci uciekł. A był tak dobry, i miał siostrę w Warszawie, lekarza. I on tak jak ojciec był, do mnie zawsze mówił: „Nie martw się”, kiedyś mi nawet parę rubli dał i mówi: „Będzie jakaś zmiana, zobaczysz”. A ja mówię: „Ja już nie mogę. Czy wyjść za mąż za Azerbejdżanina? bo za Ruskiego to ja nie chcę” – „Azerbejdżanie mają po kilka żon. Ty jesteś ładną dziewczyną, młodą, nie, w żadnym wypadku. Nie, nie rób tego. Jakoś wytrzymaj”. I pojechał potem do Polski, i wrócił z Polski, i mówi: „Słuchaj, jest w Polsce... Ludzie wszyscy mówią, że będzie repatriacja, bo bardzo dużo jest Polaków na Syberii i tych Polaków będą chcieli zabrać”. A wtedy Gomułka zastąpił akurat. I mówi: „Teraz wyszedł taki nowy szef Polski, ty będziesz mogła do Polski jechać”. A ja mówię: „Ja nie mam żadnych dokumentów” – „To pójdz tam do tego biura – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – pójdz tam, dowiedz się”. Ja poszłam, a on mi mówi, nie, w żadnym wypadku, ja nie mam prawa. Jakie ja mam dokumenty? A ja mówię, no ja nie mam żadnych dokumentów, bo rodzice moi zmarli przecież w młodym wieku, a ja byłam dzieckiem, była wojna, kto miał przechować te dokumenty? On mówi: „To ty nie masz prawa nigdzie jechać. Absolutnie, w żadnym wypadku nie pojedziesz nigdzie. A po drugie, co ty chcesz? Źle tutaj tobie? My jak chleba wam nie damy, to wy pozdychacie. Przecież my was utrzymujemy, Polaków. Tutaj to jest Azerbejdżan, nafta, bogaty kraj, i tutaj zostań”. A ja mówię, że nie, ja nie zostanę, bo ja pochodzę z polskiej rodziny, jestem Polką. „Ale dowód, pokaż dowód”. Pokazałam dowód, mówię: „U mnie nie jest napisane »Białoruska« czy »Ruska«, tylko jest napisane »Polka«...”. A bardzo atakowali mnie też, bo chcieli, żebym ja podpisała się tam w pracy, Ruską żebym się nazywała, żebym rosyjskie obywatelstwo przyjęła. Ja powiedziałam, że nigdy w życiu nie przyjmę rosyjskiego obywatelstwa. – Więc pytali mnie... – No właśnie. Pytali, dlaczego polskie mi potrzebne obywatelstwo. „Teraz polskie obywatelstwo nikomu niepotrzebne jest, tu Polski nie ma i nie będzie tej Polski”. A ja mówię, trudno, niech nie będzie, powiedziałam tak, „Już niech nie będzie, ale w dowodzie ja będę zawsze Polką i umrę jako Polka. Nie chcę żadnego obywatelstwa. A po drugie, proszę pana – mówię do tego ministra spraw wewnętrznych – moja rodzina to jest szlachta przedwojenna”. A on mówi: „Szlachta? Kto? Kto ty jesteś, szlachta?”. Ja mówię: „No ja już nie jestem, ale rodzina moja była”. Bo się bałam po tym, przestraszyłam się go. I mówię, ale moja rodzina. „To ty z takich pochodzisz”. I zaczął wyzywać różnie Piłsudskiego wtedy i tego... A ja już cała trzęsłam się ze strachu. Potem mówi: „Idź sobie, i tak nigdzie nie ruszysz się”. No i ja potem zaczęłam pisać, pomagał mi ten Żyd, pisać do amba-

sady polskiej. Nigdy nikt nie odpowiedział mi. Poszło i poszło, ale odpowiedzi żadnej nie było. I wtedy ja napisałam do Białorusi, do ciotki, czy jaka tam możliwość jest, żeby przyjechać tam, do Białorusi. I tam może jakaś pomoc, może tam jacyś świadkowie byliby. I tak ja zapamiętałam sobie, co on mi mówił, ten Żyd, i ja tam znalazłam takiego pana, który umiał po polsku pisać, i on napisał do ambasady. A dwa lata już repatriacja trwała i już koniec było repatriacji. Zdaje się, tak była repatriacja, to był 1956 rok, zdaje się, 24 marca wydał Gomułka tę repatriację. I mówi, że dwa lata już trwa ta repatriacja i koniec już będzie. I już blisko było końca. I ja wysłałam ten list stamtąd, z Białorusi. Nie wysłałam, tylko miałam taką możliwość przekazać ten list do ambasady, bo ktoś tam jechał. I zawieźli ten list tam, i jak ten list wysłany został, to po trzech tygodniach otrzymałam. Bolesław Jaszczuk wtedy był, nawet Waldek... Ja mówiłam: „Waldek, zapytaj się”. Bolesław Jaszczuk był w ambasadzie polskiej wtedy w Moskwie. I ja otrzymuję po trzech tygodniach stamtąd, z ambasady polskiej, od tego Bolesława Jaszczuka, takie zawiadomienie, że już bardzo długo wyczerpały się wszystkie możliwości moje, że jestem Polką, i tam zebrałam jeszcze różnych ludzi, żeby potwierdzili, że ojciec mój był w Warszawie, że rodzina w Warszawie, że babcia z Warszawy pochodzi, warszawianka, ale zmarła, z drugą się ożenił Polką dziadek. Przyszło to zawiadomienie, że w ciągu dwóch-trzech tygodni ja otrzymam na wyjazd do Polski. „A jeżeli pani nie otrzyma, to proszę ambasadę polską zawiadomić”, ale ja otrzymałam już zawiadomienie: jechać do Polski. No i jechać do Polski, ale nie ma ani pieniędzy, ani nic, ani ubrania. Miałam zegarek na sobie. Miałam jakieś tam parę ciuszków, sprzedawałam i krew oddałam, i to starczyło mi na... Ale ja nie skończyłam mówić, że jak poszłam po tym, jak przyszła już ta karta repatriacyjna do Wołkowyska, do policji, to ja poszłam i modliłam się pod tymi drzwiami, i myślę sobie, Boże, oni mnie zabiorą chyba, zamkną, oni mnie nie puszcza do żadnej Polski. Dlaczego oni mnie wzywają tutaj? A oni najpierw wezwali mnie, a potem zawiadomienie o tę kartę repatriacyjną. I on mówi do mnie: „Pisałaś do ambasady polskiej na nas, na ruską właśnie. Ty pożałujesz tego, i to mocno jeszcze pożałujesz”. A ja nic nie odezwałam się. I potem zaczęłam płakać, i on spojrzał się na mnie: „Dawaj dokumenty ruskie”. A ja już miałam dowód azerbejdżański, azerbejdżański dowód był, bo w Azerbejdżanie byłam. „Bakiński paszport – powiada – Polska morda. Jeszcze będziesz na kolanach nas prosić, żeby cię przyjęli tutaj”. I mówi: [wypowiedź po rosyjsku: „My chleba nie dadzim, tak wy padniecie jak sobaki”] A ja, głupia taka, powinnam była nie odzywać się w ogóle z tego strachu, mówię: „Tam ziemniaków dużo”. A ja bardzo ziemniaki lubię. On taki zezowaty, pamiętam, to tupnął nogami i do mnie mówi... A siedzieli jeszcze dwóch, ja sobie myślę, on ma świadków, ja nie mogę się odzywać więcej, bo przecież wtedy oni mogą mnie zamknąć tutaj. A ten drugi mówi, żeby coś tam wypisać. Ja sobie myślę, takie coś wypisać, to już chyba gdzieś do więzienia skierowanie będzie na mnie. Ale nie. Pisze, pisze, ale ja patrzę, wyciąga kartę repatriacyjną. I żebym ja się podpisała. I zrzeczenie tego dowodu azerbejdżańskiego, żebym się podpisała. Podpisałam się najpierw na dowodzie, potem na tej karcie, a ja powiedziałam po rosyjsku: [wypowiedź po rosyjsku: „Balszoja wam spasiba za wsio, izwienitia mnia”] „Bardzo panu dziękuję i bardzo przepraszam pana, że tak robiłam. Chcę bardzo do Polski, bo jestem Polką i tam rodzina moja jest, tu nie mam nikogo i chcę tam pojechać, bardzo kocham Polskę i będę zawsze ją kochać”. Ale nic już, tego... I odeszłam, i jeszcze ukloniłam się tak nisko, i mówię, że życzę wam dużo zdrowia, po rosyjsku mówiłam, uśmiechów, i mówię, do widzenia. I poszłam. Poszłam, ale już tutaj na drugi dzień ja wyjeżdżam. Wyjeżdżam stamtąd już, spod Grodna wyjeżdżam. I wsiadam do pociągu, a jeszcze coś miałam otrzymać, nie otrzymałam tego i jak weszłam do pociągu, przyszedł do mnie jakiś policjant, już nie pamiętam, kto to był, i zabrał tę kartę repatriacyjną ode mnie. Ja sobie myślę, Boże, kartę zabrał, ja już tam nigdy nie trafię. I co zrobić? Zaczęłam płakać i prosiłam: „Matko Boska, ratuj mnie, pomóż mi”. I pociąg już poszedł, a ja nie mam żadnych dokumentów, tylko te swoje łachy, parę łaszków, i taka wa-

lizka, gdzieś o taka, takim jakimś brezentem obciągnięta, ale to była już stara taka, i ja jak żebraczka, chuda, straszna, i myślę sobie, no tak, już nie będzie dla mnie ratunku żadnego tutaj. Pociąg jedzie... Ale pociąg jedzie, jedzie, jedzie, a ja patrzę się w to okno, otwierają się drzwi, przychodzi wojskowy rosyjski, już pogranicznik, i daje mi tę kartę repatriacyjną, i pyta o rzeczy moje. Ja mówię, „tutaj rzeczy moje”. Każe mi otworzyć, to otworzyłam. „A to wsio?”, ja mówię, „to wsio”. I patrzy, czy gdzieś tam na górze czegoś nie schowałam. Ja mówię, nie, ja niczego się nie dorobiłam, tylko to, co mam. I poszedł. Zasalutował jeszcze i poszedł. Ale pociąg jedzie dalej, myślę sobie, zaraz będzie już na pewno polska kontrola, granica polska już przecież dochodzi. I patrzę tak, a oni tylko słyszę, jak po dachu latają, gnoje jedne, za przeproszeniem, przepraszam za wyraz. I przychodzi polski żołnierz, patrzę, taki ładny mundur, piękny, ja tę kartę trzymam tak już w ręku, nie chowałam, on mówi: „Pani dowód”. Ja mówię: „Ja nie mam dowodu, jestem repatriantką. I mam tylko kartę repatriacyjną”. A on mówi: „Proszę pokazać tę kartę”. A ja zachowałam się jakby niepełnomysłowa. Patrzę się na niego i mówię: „Proszę pana, ja przepraszam bardzo”, ale po polsku. Bo ja po polsku sama do siebie mówiłam, jak tam byłam w Baku, cały czas. I mówi: „Proszę pani, ja proszę jeszcze raz”, a ja mówię: „Proszę pana, ja nigdy w życiu jeszcze nie widziałam polskiego munduru, a ja tak marzyłam o nim, że kiedyś w swoim życiu zobaczę ten polski mundur”. I uklękam, wzięłam jego róg, on tam jakieś gwiazdki miał, i ucałowałam. On nie płakał, bo to mężczyzna, pełne oczy łez, i mówi: „A pani bagaż?” – „Mój bagaż tutaj stoi”. Już ręce mi tak trzęsą się, on sam otworzył ten bagaż i mówi: „To tylko tyle pani ma?” – „Tylko tyle, ja mam więcej nic, proszę pana, ja z głodu umierałam”. A on mówi: „Proszę pani, w Polsce już pani nie będzie z głodu umierać, niech pani się nie martwi, będzie pani miała życie i jedzenie, wszystko”. I przyjechałam do Białej Podlaskiej, wychodzę, patrzę, nie wiem, dlaczego ta orkiestra grała, tam jechało trochę tych repatriantów, orkiestra pięknie polska gra, ludzie ładnie ubrani, a ja, Boże, taki żebrak. I popatrzyłam, zaczęłam płakać i schowałam się z powrotem do tego wagonu. A konduktor przychodzi i mówi: „Proszę pani, wszyscy wyszli. Dlaczego pani nie wychodzi?”. A ja mówię: „Proszę pana, niech pan zobaczy, jak ludzie ubrani, a jak ja jestem ubrana. Ja się wstydzę ruszyć z tego...” – „Ale ja nie mogę tu pani utrzymać, bo ja zamykam wagon, już pociąg teraz będzie stał tutaj, nie pojedzie teraz”. No i trzeba teraz jechać do punktu repatriacyjnego. Punkt repatriacyjny gdzie jest? Pamiętam, jakiś samochód, zdaje się, był. Ja już tak dobrze wszystkiego nie pamiętam. Jakiś samochód był i tym samochodem jechaliśmy, czy autobusem, już nie pamiętam dobrze, i do Oleśnicy Śląskiej trzeba aż dojechać. A to... Zaraz, jak to się nazywa? Już zapomniałam tej miejscowości. To jakaś mała miejscowość była, gdzie ten punkt repatriacyjny był.

– Biała Podlaska?

Kazimiera Parchimowicz: Biała Podlaska? Nie, nie. To za Białą Podlaską było. Dobroszyce, o. Do Dobroszyc trzeba dojechać, tam punkt repatriacyjny. I dojechałam do tych Dobroszyc, i tam widzę, że też jacyś Polacy byli w tym już samochodzie, autobus to był, tak. I dojechałam do tych Dobroszyc, tam kontrola lekarska od razu była, najpierw lekarze zbadali, czy człowiek zdrowy czy co, a ja taka chuda i głodna, Boże. I mówię do jednego pana, taki pan był tam też: „Czy chociaż będzie jedzenie?”. I on mówi: „Pani, będzie jedzenie, tutaj przygotowali dla takich ludzi jedzenia dosyć”. Ja przyszłam i najpierw lekarskie badanie, a mnie bardzo brzuch bolał. Lekarskie badanie przeprowadzili, i brzuch boli, i ja mówię: „Ja jestem chyba chora”. A zobaczyli, że puste flaki, pusty żołądek, nie ma jedzenia żadnego, i od razu na zdjęcie, zdjęcie zrobili, mówią, że pusty żołądek, i kazali tym kelnerkom nie dawać dużo jedzenia, po troszeczkę i bardzo lekkie jedzenie, tak przez tydzień czasu nie dawać mi jedzenia, takie lekkie jedzenie. A takie

były dobre kelnerki, że już po tygodniu mogłam wszystko jeść, ile chcę, ale szukać sobie miejsca, gdzieś osiedlić się.

Przepraszam, ale pamiętam, mówiłaś kiedyś, że zemdłałaś – na tym punkcie repatriacyjnym.

Kazimiera Parchimowicz: Proszę?

Mówiłaś kiedyś, że zemdłałaś na tym punkcie repatriacyjnym i zasnęłaś gdzieś w kościele. To gdzie to było?

Kazimiera Parchimowicz: W kościele, ja na ławce zasnęłam, omdlałam na ławce. Do kościoła poszłam, bo było wtedy akurat... jak ja przyjechałam, Boże Ciało było. Jak ja zobaczyłam, rozpoczęła się msza święta, a ja przecież tyle lat nie widziałam już tego. Bo kiedyś sama do procesji chodziłam przecież, ale jak tego księdza wtedy już zabrali... W Wołkowysku to było czterdziestogodzinne nowożeństwo, bardzo pięknie było, bardzo piękny, duży kościół, To jest kościół pod wezwaniem świętego Michała, No i odpust był bardzo duży, dużo ludzi zawsze przychodziło z innej miejscowości i bardzo duży, piękny kościół, i adoracja była, i nieszpory, zakończenie było czterdziestogodzinnego nowożeństwa. I tu procesją, a ja do procesji chodziłam w straży honorowej, taka chorągiew, i ja do tych wstążek należałam. Chór pięknie śpiewa, młodzież śpiewa wszystko i wszyscy ludzie śpiewają, cały kościół, I jakieś kroki straszne idą, echo tylko idzie po kościele. Kiedy my się obracamy w drzwi patrzeć, a tu idzie NKWD, uzbrojone po same uszy. Ludzie zresztą mdleli ze strachu, i mówią, że idą kogoś zabierać na pewno. Ale ksiądz był taki staruszek, odprawiał nieszpory, i nikogo nie pytali, ale od razu prosto, byli dobrze poinformowani, zakrystia, pamiętam, była po prawej stronie, i oni od razu do tej zakrystii weszli. I ksiądz proboszcz przychodzi, i księdza spod ołtarza zabiera. Zabrał tego księdza spod ołtarza, od razu zaczął się ruch robić, chorągwie już kazali położyć, tam taka była pani, która procesję tę prowadziła, położyć chorągwie, już wiedziała chyba, że trzeba będzie uciekać stąd czy co, nie wiem. Położyliśmy chorągwie, stoimy i prowadzą księdza już, prowadzą w sutannie, szaty musiał zdjąć, w których odprawiał nieszpory, i prowadzą. A wszyscy, cała procesja i cały kościół, biegiem za nim. My najbliżej byli, procesją, bo ludzie w ławkach byli, a my, procesją, na środku kościoła. I biegiem. A oni z przodu już, było tam kilkunastu, z przodu prowadzą z tą bronią tego księdza biednego, i z tyłu. Ale ksiądz obrócił się i mówi tak... A nie dają rozmawiać księdzu. Mówi: „Módlcie się. Ja wrócę do was. Módlcie się, dokończcie nieszpory. Ja wrócę do was”. Ale już nigdy nie wrócił. Ja miałam dwa-naście lub trzy-naście lat, to był 1946 lub 1947 rok, i wtedy jeszcze koło kościoła wybudowali taki klub, w kościele jeszcze wtedy się odprawiało... Bo był jeszcze ksiądz, nasz ksiądz, potem zmarł ten ksiądz, dostał zawału serca. I w tym klubie puszczała taką muzykę, żeby zagłuszyć wszystko w kościele. Już chóru nie było, nie można było na chórze śpiewać, tylko ci ludzie. Młodzież nie mogła do kościoła chodzić. Tylko starzy ludzie. Młodzież do kościoła nie, bo młodzież musiała się zapisywać do Komsomołu. I już wierzyć w Komsomoł, a nie w Boga. I tylko starzy ludzie w tym kościele już byli. No tacy starzy całkiem nie, młodszy też, ale młodzież już, dzieci nie miały prawa do kościoła wchodzić. I tę muzykę puszczała, że nic nie było słychać, ksiądz zmarł, kościół zamknęli i nie można było już w kościele modlić się. Ale potem, czy od tego Breżniewa, czy od... nie wiem, tam gdzieś z tej Moskwy uzyskali, że ktoś tam miał klucz, taki chyba Kano-pierko, taki był ministrant, ale to już tak samo człowiek w podeszłym wieku. I on podobnie miał te klucze, i on tam otwierał ten kościół, i wchodził tam raz na miesiąc chyba pomodlić się tylko. Bo nie można było. I potem, kiedy już opanował Wałęsa tę Polskę, to żądali ludzie, pisali tam wszędzie do Moskwy, żeby dali jakiegoś księdza, bo ksiądz

zmarł i kościół zamknięty. I dali księdza później, dali księdza z Polski, i ja dowiedziałam się o tym, że dali tego księdza z Polski, już jest z Polski ksiądz, i Waldka wtedy prosiłam, jak ty byłeś w Moskwie. Tam też, jak jechałam do pracy, a jechałam nieraz, bo ta budowa wszędzie powstawała, bo to budowali z ciężkich betonów bardzo różne zakłady, lotniska i tak dalej, i ja jechałam do pracy, i bardzo dokuczali oni mi, jadąc do tej pracy. Pamiętam, taki Ormianin, jak Polska grała z Rosjanami mecz i Polska przegrała, wtedy oni w tym samochodzie, Azerbejdżanie... nie, tylko oni, Ruskie. Ruskie i Ormianie byli też bardzo podli. I oni mówią: „O, ty polska mordo, o, my wczoraj dali w polską mordę. Nie daliście rady. Bo Polacy to wszyscy gruźliki, A nasze, Ruskie, silne są, my wam damy dobrze. Wam nie zechce się czekać na Polskę, bo jeszcze czekacie na Polskę, ale wy jej się nie doczekacie, tej Polski”. Ja nic, nie zaczęłam płakać. I do tego Komsomołu, żebym się zapisała. Ja mówię, że nie, ja się nie zapiszę do Komsomołu – „A, ty, polska morda, ty chcesz do Polski”. I potem, kiedy ja już do tej Polski się starałam... „O – mówi – Polska morda, widzisz, tobie Rosja nie podoba się, tylko Polska, ty do Polski chcesz” – „Tak, ja do Polski chcę” – „Ale nie wyjedziesz”. Ja mówię: „Wyjadę”. A ci Żydzi tak się cieszyli, mówię ci. I jeden mówi do mnie: „Kazimiera”, mówi żebym chociaż zdjęcie z Polski przysłała mu. Tak chcieli. Bo mówi: „My nie dostaniemy się do Polski, ale ty będziesz w Polsce, możemy ci pozazdrościć”. I jeszcze pożegnałam się z nimi, pamiętam. I teraz mieszkalam w hotelu, to hotel był... najpierw zamieszkałam, Pasiołek, znaczy Ściepana Razina. I była bardzo wredna Rosjanka taka, miała pięcioro dzieci i zawsze w moim łóżku szukała czegoś. Wiedziała, że jestem Polką. Ja miałam różaniec i miałam książeczkę do nabożeństwa jeszcze, ale zawsze chowałam, przy sobie nosiłam. Pech chciał, że wzięłam pod głowę sobie to, jak spałam. A tak nosiłam przy sobie, w kieszeniach, i różaniec, i tę książkę, taka nieduża książeczka. Babcia kupiła w Wilnie. Bo babcia chciała, żebym ja do zakonu poszła. I do Wilna jeździła ze mną. A potem już zakonnice na Syberię tak samo powywozili, i księży, i wszystko, i już nie było klasztoru żadnego, nic tam, I znalazła to, i woła mnie: „Ty, polska morda, chodź tutaj”. Ja podchodzę, „To co? – pokazuje. – Co to jest?”. Ja mówię: „To jest Pan Bóg”. Bo po rusku tylko mówią. „To jest Pan Bóg”, ja mówię. „A to co? To korale” – „To nie korale, bo tu jest krzyż. To cierpienie Pana Jezusa” – „O, ty polska mordo”. Wzięła to, porwała ten różaniec, książeczkę porwała, podeptała nogami, a ja tak płakałam i mówię, Boże, ja już nigdy nie będę miała różańca, ja już nigdy nie będę miała książeczki, ja już nigdy nie będę widziała tego na oczy nawet. Jak ja będę się modlić? Ale myślę sobie, Boże, będę na palcach odmawiała różaniec. I tak odmawiałam ten różaniec. I poszłam jeszcze ostatnią krew oddać, i oddałam tę krew, ale 300 gramów wtedy wzięli ode mnie. I idę, i nie mogę iść, już taka słaba byłam. I oparłam się, niedaleko byłam, bo pociągami elektrycznymi jechałam, niedaleko byłam, o ścianę się oparłam, stoję, serce mi tylko skacze tak, a trzeba dojść jeszcze do takiej restauracji, gdzie dawali obiad po oddaniu tej krwi. Myślę sobie, ja nie dojdę do tej restauracji. A nic nie jadłam, bo tylko na czczo trzeba przychodzić było. Myślę sobie, ja już nie dojdę. A potem załamalam ręce, mówię: „Matko Najświętsza, Matko moja, ty na pewno jesteś już w niebie. Ratuj mnie, Boże, ja nie chcę tu umrzeć, na tej ziemi, ja chcę w Polsce umrzeć. Dopomóż mi”. I jakby wszystko jedno, siła od razu mi przyszła, ruszyłam i poszłam, usiadłam. A ta kelnerka już mnie знаła, bo ja zawsze w tym miejscu siadałam. I daję tę karteczkę taką, co już jak krew oddałam, dali mi taką kartkę na ten obiad. Ale Azerbejdżanie siedzą, dwóch, i jeden podchodzi do mnie, bo oni bardzo lubili kobiety, ale oni się znęcali nad białymi kobietami. I podchodzi do mnie jeden, i zaczął zaraz po azerbejdżańsku mówić. A ja nie odzywam się. I zaczął brzydkie słowa mówić, a ja mówię: „Sən axmaq”. „Sən axmaq” to „ty jesteś dureń”. A ta kelnerka obserwowała to i podeszła do niego. I mówi, co on chce ode mnie, to jest biedna dziewczyna, oddała krew, usiadła zjeść obiad. „Co ty chcesz od niej? To jest Polka”. On poszedł, powiedział tamtemu, tamten drugi przychodzi: „Sən Pol?”, ja: „Mən Pol” – „Polacy to są nasi bracia”. I zjadłam ten obiad, i poszłam pomalutku już do tego pociągu, i pojechałam już do tego hotelu.

Ty się nauczyłaś też azerskiego, i rozmawiali z tobą, i było ci lżej z tymi Azerami, tak? Tak. Oni nie lubią... A kobiety też nie lubiły tych białych, absolutnie. A mężczyźni tylko potrzebowali kobiety, żeby zgwałcić. I za chlebem jednego razu stoję, ja mówię „Kolejka”, bo duża kolejka, a chleb bardzo smaczny piekli. A on mówi: [po azersku niezrozumiale] Brzydkie słowa użył. [wypowiedź po azersku] Ja mówię: „Nie jestem Ruska, jestem Polką”. I on zaraz, patrząc, przekazuje tamtym, co stoją jeszcze w tym czarnym swoim, ci się wszyscy oglądają, i on mówi: „Pol? Sən Pol? Polacy to są nasi bracia”. W Azerbejdżanie młodzież jest wysportowana, bardzo, sport to jest w pierwszej... Rano to tam gimnastyka u wszystkich. Baseny, wszędzie pływa się w basenach, baseny przyzakładowe, nawet w takich hotelach baseny były, i rano do basenu skaczesz, wychodzisz z wody, a tam temperatura bardzo gorąca, latem to dochodziło do 50 stopni. No i starałam się to wszystko pokonywać, bo jakby nie brała tego udziału, to nie... Ale niestety nie dałam się im tak samo, co oni chcieli, to im się nie dałam, tak samo. W pracy bardzo dobrze pracowałam, byłam przodownicą, stachanovka, jak nazywa się u nich, stachanovka byłam, a to było bardzo duże przedsiębiorstwo, Smusześć się nazywało, Stroiicielstwo Smusześć, Baku. I to do 1 tysiąca 500 pracowników pracowało, bardzo dużo ludzi. I taki klub bardzo duży, i to zawsze przed 1 maja, to była bardzo duża uroczystość, a ja wiedziałam już, bo zawsze przychodzili fotoreporterzy i robili zdjęcie mi, ja uciekałam, a oni za mną gonili i potem dyrektor krzyczał na mnie, że mam stanąć, jak się należy, bo chcą zrobić mi zdjęcie. A ja już wiedziałam wtedy, kiedy robią zdjęcie, to już ubierałam się trochę tak... Bo tak w kombinezonie pracowałam zawsze. To mówię, że jeżeli pozwolą mi kombinezon zdjąć, nałożyć sukienkę, bo mam tam sukienkę, to stanę, ale w kombinezonie ja nie chcę zdjęcia. To pozwolił dyrektor i w sukience stałam, miałam ładne włosy, kręcone, takie miałam włosy ładne. I zrobili to zdjęcie, i taki był też Żyd polski, naczelnik Snabrzenia. Zawsze mi wystawiał miejsce w pierwszym rzędzie albo w drugim. Pierwsze miejsce. Ja już myślę sobie, niech tam zajmą wszystkie miejsca z przodu, to ja pójdę gdzieś z tyłu, że nikt nie będzie mnie widział. A on nie pozwalał, bronił tego miejsca, bo on to prowadził zawsze te zebrania, i on zobaczył, już ja przyszłam. [wypowiedź po rosyjsku] „Parchimowicz Kazimiera, proszę zająć swoje miejsce”. Ja już nie mam wyjścia, idę na to miejsce, a Azerbejdżanie, tam Rusków mało było, wszyscy klaszczą. Bo już wiedzieli, że ja Polka. Wszyscy klaszczą. I mówią, że Polka, Polka, Polka, krzyczą. Ja już siadam. No i potem, co, pieniędzy nie dostawałam, tylko dostawałam papierek, dyplom dostawałam. No i potem, kiedy chciałam już wyjechać z tego Baku, już wiedziałam, że muszę starać się do Polski, wyjeżdżam z Baku... i dyrektor mnie zawołał, i mówi tak do mnie, że jestem bardzo dobrym pracownikiem, zdyscyplinowanym, „jesteś ładną dziewczyna, możesz tu wyjść za mąż za kogo chcesz”. I mówi: „Ja ci dam dobre mieszkanie tutaj, w Baku, bo jesteś stracieliem, budowlanym jesteś, pracujesz na budowie już tyle – już piąty rok, pięć lat prawie było – my pomożemy ci”. Ja nie dałam się przekonać. Mówię do niego: „Pan w swoim kraju, panu tu odpowiada, ale ja jestem sama tutaj, a ja bardzo kocham Polskę, chciałabym rodzinę widzieć, chciałam w Polsce mieszkać, naprawdę, ja nie mogę tutaj zostać. A jest teraz możliwość się wydostać, bo repatriacja trwa Polaków”. I mówi: „I co, nic z tego?” – „Nie, nic z tego”. On posłał mnie do Ormianina, Ormianin był ten inżynier, znaczy zastępca jego był, Wartanow. Pamiętam jeszcze ich nazwiska. Ten Ismailow nazywał się, a tamten Wartanow był. Posłał tamtego i tamten znowu zaczął mnie różnie prosić, błagać, mówi, chcieliby, żeby Polka u nas była, bo nawet w Treście znają mnie, znają mnie tam w Zjednoczeniu, że to Polka, taki pracownik dobry, młoda dziewczyna, tak dobrze pracuje, i żeby została tutaj, to wyjdzie pani za mąż, będą polskie dzieci. A ja mówię: „Polskie i azerbejdżańskie”. Czy armeńskie, mówi. A ja mówię: „Nie, nic z tego, nie. Ja dziękuję bardzo za propozycję, ale ja nie zostanę, ja tylko chcę do Polski. Czy pan by tak chciał zostać gdzieś w innym kraju sam, bez nikogo, bez rodziny, bez swojej narodowości?”. On tak pomilczał, ja mówię: „Nic mi pan nie odpowiada na to”. On mówi: „No to tak, to przykro jest. Naprawdę wierzę pani, ale tu już pani tyle lat jest”.